

Rozkosze złudnej jedności. Uwagi na śmierć prezydenta Adamowicza*

Tomasz Rowiński

To się powtarza już do znudzenia. Oglądam to od lat, a nawet opisywałem – i w nowej książce, i starszych tekstach. To kiwanie mądrymi głowami, że taka czy inna tragedia, mocne uderzenie (pielgrzymka papieska, śmierć Papieża, katastrofa smoleńska, teraz śmierć prezydenta Gdańska), nagle doprowadzą do jakiegoś – deus ex machina – pojednania w Polsce. Pomijam na razie, że nie ma dziś w ogóle warunków do politycznego pojednania, a także że nie potrafię powiedzieć, czemu miałyby takie pięciominutowe pojednanie służyć. Ktoś powie, że to byłby jakiegoś rodzaju przejaw wyższej kultury politycznej i narodowej. Kultura ta jednak nie jest tworem spontanicznym, a jej owoce są zgoła czymś odmiennym od rozkosznego westchnienia – „pojednaliśmy się”.

Nie oszukujmy się, my przecież wcale nie tego oczekujemy, nie pięciu minut rozkoszy. Jedynie zaślamiamy się taką minimalistyczną wymówką, żeby za mocno nie okazywać, jak bardzo jesteśmy zanurzeni w naszych fantazjach narodowych i nadziejach. Widzę to w licznych komentarzach, regularnie przy każdym tąpnięciu w życiu publicznym. To jest oczekiwanie, że powstanie kolejna konfederacja wszystkich Polaków i zmieni nasz los i naszą kondycję wewnętrzną, międzynarodową, a nawet duchową. Dojdzie do doczesnego przebóstwienia. A jak konfederacja nam się nie udaje – bo udać się nie może, ponieważ nie tak się buduje państwo, nie tak się formuje cnotliwą duszę – to każdy wraca do swojego obozu, do swojego rokoszu, do swojego oburzenia i odurzenia emocjami. Albo do swojej prywatności i braku zainteresowania. Tak się suwerenności zbudować nie da, ponieważ wszystko się wtedy spala w ogniu wewnętrznych zmagani i wewnętrznego nieładu.

* Artykuł pierwotnie ukazał się na portalu christianitas.org, 15.01.2019.

Jak się ma udać ta konfederacja? Skoro nie pracujemy – lub pracujemy bardzo mało – nad zasadami naszej polityki w nieznośnie długiej teraźniejszości wtedy, gdy, jak się zdaje, nic się nie dzieje. Myślimy: jakoś to będzie, i dajemy się rozgrywać innym narodom jak dzieci. Za to ciągle śnimy o jakimś zrywie. Wybrali Papieża – będzie jedność, umarł Papież – będzie jedność, zginął Prezydent – będzie jedność. Nawet ci, co – w teorii i praktyce – rzeczywiście pracują nad Polską (a nie np. zajmują się przerabianiem jak jakąś nie-Polskę), ulegają temu złudzeniu, gdy tylko „coś się dzieje”. Nie jest nam to złudzenie potrzebne, lepiej już niech polityka się toczy i wypala, i przepala kolejne polskie fantazje, polityczne bajki i partykularne rozkosze, które chcą reprezentować polską całość. Zawsze to jakieś oczyszczenie, jakiś ruch, który popycha ku myśleniu, pisaniu książek, czasem i działaniu, a nie usypianie. Jest szansa – choć marna – bo u nas częściej konfederacja przemienia się w rokosz niż w państwo.

Rokosz jest zaś zrywem, w którym roztropność czy trafność diagnozy (jeśli się pojawia) stanowi tylko efekt przygodny jakiegoś odruchu. Nie wynika ten zryw z realnego przeżycia tradycji życia publicznego i suwerenności. Nawet jeśli się na nie powołuje. Rokosz jest buntem generowanym przez, na przykład, żądze władzy. Zatem stanowi wydarzenie przypadkowe, w którym nie można rozpoznać duszy polskiej.

Na końcu i tak nie będzie tej mesjańsko-apokaliptycznej jedności narodowej, nie tego nam potrzeba. Nie potrzeba pięciominutowej miłości kibiców Arki i Lechii. Potrzeba zrozumienia, że nasza suwerenność i kultura publiczna, poczucie sprawiedliwości i przyzwoitości, a nawet stabilne instytucje i skuteczność czy wreszcie istnienie jako naród historycznie – nie odbudują się i nie utrwala bez chrześcijańskiego racjonalizmu, będącego rdzeniem naszej tradycji. Nie chodzi mi o prozelityzm ani rozgrywanie inaczej wierzących, ale zauważenie, że nie ma historycznego narodu bez własnego logosu, który daje i pomysł, i sposób na obecność w świecie. Nam chrześcijaństwo daje właściwą miarę w wielu sprawach, choć też krzyżuje nasze ideologie. Nie ma w nim ciepłoty romantycznego „kochajmy się!” ani gniewnego lodu pogańskiego „nienawidźmy!”.

Zdolność do aplikowania zasad własnej tradycji w zgodzie z okolicznościami jest natomiast znakiem żywotności, który – może się tak zdarzyć – przekracza zasadę samozachowania, zatem i krąg politycznych żądz. Zdolność przekraczania tej zasady może okazać się w pewnych sytuacjach mądrością polityczną, a w efekcie relatywnym gwarantem suwerenności i niepodległości. Jest to jednak coś innego niż wyjściowe porzucanie politycznej cnoty roztropności i nieustanne ryzykowanie politycznej klęski, tak jakby sama nonszalancja była suwerennością. Społeczeństwo, które za swoją formę uznaje pulsowanie lub karmienie się społeczną emocją, traci de facto historyczną formę. Jest wówczas podobne do podrażnionego żubra kierowanego przez myśliwych w zasadzkę, a więc na swoją zagładę lub zniewolenie.

Spodziewam się jednak, że wielu rozgrzanych bogami rozkoszy swoich stronnictw wzruszy tylko ramionami na te uwagi. Piszę jednak do tych, którzy ramionami nie wzruszają, ale są przekonani i wierzą w możliwość odbudowania polskiej filozofii i kultury publicznej.

Praca nad przywróceniem nam samym wiedzy o rzeczywistości, która nie jest po prostu historią, nie jest też objawieniem ani tym bardziej fantazją czy ideologią, ale zawiera w sobie nieredukowalną prawdę o narodzie, z którego się wywodzimy i który stanowimy. Teologia narodu winna być zatem próbą zrozumienia dynamiki poruszającej określoną ludzką wspólnotę we wszystkich jej aspektach, także nadprzyrodzonym.

Refleksja ta bywa dziś podejmowana raczej rzadko. W konsekwencji mamy do czynienia z zapominaniem przez Polaków własnej formy, a więc tego, kim właściwie są. Coraz częściej wydaje się nam, że możemy zrzucić z siebie katolickość niczym płaszcz, podobnie jak nowoczesna cywilizacja zachodnia porzuciła swoje romantyczne ideologie: dawny socjalizm czy nacjonalizm, przywiązanie do ziemi, krwi, rasy i klasy. Ewentualnie że można traktować katolickość niczym estetyczny dodatek, który w razie potrzeby – gdy stanie się już niepotrzebny lub sprzeczny z naszymi oczekiwaniami – po prostu się rzuci. To także dynamika charakterystyczna dla ducha romantycznego, który powiązał religię bardziej z uczuciem aniżeli z rozumem.

Ten duch jednak, który jest duchem rozkładu, zaprowadzi Polskę donikąd. I nie zatrzyma tego żadna techniczna sprawność ani magiczne zaklinanie rzeczywistości. ■